OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO"

NR. 35 | WĄBRZEŹNO, DNIA 14 GRUDNIA 1935 ROKU | ROK 5

Co powiedział dzieciom Marszałek Piłsudski

(Dokończenie)

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wąwozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc z za chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko że to blask kosy śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli, tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietnika niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej, wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosem lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwała im na wszystkie strony. Lecz miasto złem okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszydło-auto huczące i syczące, łomocąc w bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspakajał ją głaskaniem i batem zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. „Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdziesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!... Nie bój się, kasztanko! Próżny strach twój tutaj!.." I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach Marjackich koroną zdobnych są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w śpiże czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!...

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, noc nockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwa. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I, łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi wstęga, co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy. Grzmią bębny warkotem okrutnym. Brzmią trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiże zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie, prężąc ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany! — Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnów, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany! Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z bajek i czarów? czy z czego innego?

Pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, jak powita nas 11-go listopada w przyszłym roku. Może nam szyby deseniami szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciał i duszy odrodzenie się odbywa ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wichurą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i o strachach krzyczy — wiem, że wskrzeszenie ciał z odrodzeniem duszy siłę i piękno w jedno razem zwije. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciał, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechnęło się słonko w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słonko jesienne lica przygrzeje i wiatr łagodny twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom.

(Koniec)



Marszałek w otoczeniu swej rodziny.

ADWENT

Nadszedł czas cichej, nadziejnej tęsknoty
Czas oczekiwań wśród łez i westchnienia
Boskich tajemnic, Boskiego zrodzenia
W ciszy, spokoju dziecięcej prostoty.

Lud śpieszy chętnie zewsząd na roraty,
By słać w niebiosa modły i błaganie
O Chrystusowe Boskie królowanie
W serc człeczych wnętrzu każdej chaty

Mroki się nocne zła ścielą — to szerzą
W nich samowolnie ludzkie tonie plemię...
Lecz wierzmy, bracia, skry dobra nad ziemią
Błysną i — serca wszystkie skroś przemierzą!

I — upragnione wzejdzie słońce Boże —
W jego się błyskach rzesze rozweselą,
Niecne zaś dzieła szatańskie — spopielą...
Pańskie — wieczyste płonąć będą zorze!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W cichem Betlejem — w bydlęcej stajence —
Rodzi się Chrystus Król i Pan wszechświata,
Który narody wszystkie zjedna — zbrata!...
Pobłogosławią im królewskie ręce!...

Józef Czarnecki.

Przygoda Janka

(bajka)

Zbliżała się godzina ósma wieczór. Mały Janek, zabawiwszy jeszcze kilka chwil po kolacji, szedł na spoczynek. Grzecznie powiedział dobranoc tatusiowi i starszemu rodzeństwu, poszedł z mamusią do sypialni rodziców, gdzie stało jego łóżeczko i począł się rozbierać.

Wieczór był ciepły, majowy. Słowiki ukryte w krzakach bzu wywodziły piękne trele, drzewa szumiały tajemniczo, a staw rozbrzmiewał chórem żab. Rechotały jedna przez drugą, jakby mówiły ze sobą, lub nawoływały się. Ten żabi koncert rozlegał się daleko i czasami przygłuszał delikatną melodję słowika.

Janek już leżał w łóżeczku. Mama zmówiła z nim poprzednio paciorek a teraz otuliła go i uściskała jeszcze.

— Mamusiu! Dlaczego te żabki tak rechoczą? — zapytał Janek.

— Zapytaj się ich synku, a może... może odpowiedzą ci na to. Ale teraz śpij grzecznie, śpij pod opieką aniołków.

Mama zgasiła świecę i wyszła. Zrobiło się ciemno w pokoju, jedynie przez firanki małą szparką figlarny promień księżyca oświetlał kawałek podłogi i boczną ścianę sypialni. Janek patrzał na to światło, słuchał kumkania żab i nie mógł zasnąć. Po jakimś czasie wstał cichutko, zbliżył się do okna i rozpłaszczył nosek o szybę. Tak bardzo chciałby zapytać żabek, o czem sobie opowiadają, tak chciałby wiedzieć przeróżne tajemnicze rzeczy. Ale spytać głośno się boi, nużby usłyszał kto ze starszych? Naraz zobaczył coś dziwnego: z dużego stawu, który rozciągał się blisko okna wyskoczyła mała, zielona żabka. — Chwilkę popatrzyła na prawo i lewo i.... hyc na okno, przy którem stał Janek. Zdawało mu się, że się ukłoniła:

— Dobry wieczór! — rzekła żabka, — komar, mój przyjaciel, powiedział mi przed chwilą, że cię nasze życie bardzo interesuje. Jeżeli chcesz to pójdź ze mną: zaproszona jestem na urodziny królowej naszej ropuchy, możesz mi towarzyszyć.

— Bardzo chętnie, — odparł ucieszony Janek i ubrawszy się szybko, podążył za żabką. Skakała żywo, a Janek grzecznie dotrzymywał jej kroku, aż znaleźli się na drugim brzegu stawu wśród trzcin wysokich i liści łopuchu. Tysiące komarów uwijało się nad wodą, żaby rechotały wesoło, ciesząc się nadzieją festynu, a śliczne ważki tańczyły już ochoczo w świetle księżyca. Janek, przedstawiony ropusze, ukłonił się uprzejmie, poczem z zaproszonymi gośćmi udał się do królewskiego pałacu. Tam dopiero miał czas rozejrzeć się wokoło. Sale były przestronne i widne, ściany udekorowane liśćmi, między niemi zgrabnie umieszczone robaczki świętojańskie świeciły jak małe, drżące gwiazdki. Podłoga była wysłana mięciutkim piaskiem, a w pośrodku stał złoty tron. Zasiadła na nim ropucha, najstarsza i najmędrsza ze swego rodu. Gdy żaby i żabki zajmowały wyznaczone miejsca na sali, w kuchni dopiekały się skrzydełka muszek na rożnie, a na skorupki ślimaków nakładano pasztet z mózgów gąsienic. Na liściach łopianu, naśladujących stoły, przygotowano nakrycia. W płatkach róży był sok do picia i rosa, obok gałeczki z nóżek komarów, które — jak wiadomo — zastępują żabom chleb. Wszystkiego było obficie i w najlepszym gatunku. Królowa włożyła koronę na głowę na znak, że można rozpocząć zabawę. Korona, wysadzana perłami, miała na obu bokach duże, złote monety, które były zupełnie podobne do okrągłych pieniędzy.

Rozbawiony Janek poszukał przewodniczki i rzekł:

— Moja najdroższa żabko! Tak tu ślicznie, że gdyby nie żal za rodzicami, zostałbym z wami na zawsze. Ale ja bardzo kocham mamusię i tatusia i muszę przy nich być, aby im choć trochę pomóc. Nie wiesz zapewne kochana żabko, że u nas w Polsce nastały teraz ciężkie czasy i niejedni rodzice nie wiedzą skąd brać pieniędzy, by ubrać i nakarmić swe dzieci. Moi rodzice też są biedni....

Żabka wzruszyła ramionami:

— To są rzeczy niezbyt zrozumiałe dla mnie. My się tam nigdy nie kłopoczemy, zresztą nasza skóra jest tak piękną, że nie wymaga nakrycia....

— A skąd ma wasza królowa te pieniądze i perły w koronie?

— Jej ministrowie postarali się o to. Tu niedaleko pod korzeniami rozłożystej wierzby jest w głębi ziemi skarb ukryty. Mnóstwo ponawlekanych pereł, cała moc pieniędzy i różnych kosztowności. Chcesz, mogę ci pokazać? Z tego to skarbu minister finansów urządza korony dla królowej i księżniczek....

Janek po krótkiem wahaniu postanowił iść, by skarb obejrzeć, pomyślawszy, że jeśli żabki się zgodzą, mogą rodzice coś z tego skarbu zabrać dla siebie. Mama mogłaby zaraz zrobić sobie branzoletkę na rękę, jaką miała dawniej, zanim ją sprzedała. A tatuś kupiłby sobie zegarek i nowe trzewiki, bo ma już takie brzydkie. Opuściwszy salę balową, udał się wraz z uprzejmą żabką pod starą wierzbę, która stała samotnie nad nikłym strumykiem. Żabka wskoczyła między korzenie i chwilę pogrzebała tam łapkami. Kiedy Janek pochylił się nieco, ujrzał prawie na powierzchni zmurszałą, starą szkatułę, w której rzeczywiście lśniły kosztowności. Zdziwienie ogarnęło Janka. Tyle razy tu przechodził, tyle razy bawił się w pobliżu, a nie wiedział, że taki skarb o trzy kroki dalej się znajduje. Z jaką radością oznajmi to rodzicom. Ale czy żabki zechcą?

— Kochana żabeczko! — rzekł Janek, składając ręce prosząco — ty zapewne nie wiesz, jak trudno tatusiowi i mamie zarobić na życie. Gdy dorosnę, cały mój zarobek oddam im zawsze, lecz tymczasem... Żabko droga, czyby wasza królowa nie zgodziła się łaskawie, by moi rodzice przyszli tu i cośkolwiek... niedużo... cośkolwiek... wzięli ze skarbu?

Żaba zarechotała wesoło, a potem odpowiedziała:

— Mój duży przyjacielu! Ja — tu ukłoniła się lekko — jestem żoną ministra finansów, zastępuję go, gdy udaje się w podróż, ja wreszcie mam pełne prawo udzielania ze skarbu temu, kogo uznam za godnego dobrodziejstwa. Otóż mój duży Janku, chętnie udzielę tobie i twoim rodzicom tyle, ile tylko zapragniecie! Za kilka godzin, skoro dzień już będzie,

przyjdźcie pod wierzbę i z całym spokojem wykopcie skrzyneczkę.

Uszczęśliwiony Janek chciał pochylić się, by pocałować żabkę, lecz stracił równowagę, przekoziołkował w powietrzu i wpadł do wody z głośnym okrzykiem strachu.

W tem uczął, że go ktoś gładzi po głowie i usłyszał łagodny głos mamy:

— Obudź się synku, obudź! Zapewne miałeś przykry sen, bo tak krzyknąłeś?

Janek otworzył oczy. W pokoju było jasno i słońce zaglądało przez okno. Chłopczyk zarzucił matce rączki na szyję:

— Ach, mamo! Byłem w nocy na urodzinach królowej ropuchy! Było nadzwyczajnie. A potem zielona żabka, żona ministra zaprowadziła mnie pod wierzbę, pokazała skarb i pozwoliła wziąć go do domu! Pójdziemy tam matuś?

Wszyscy bardzo się śmiali, słysząc o nocnych przygodach Janka. — Na jego nalegania udano się jednak do wierzby. Jakież było zdziwienie, kiedy pod łopatą tatusia coś cicho dźwięknęło, a w kilka minut później dobyto z ziemi starą szkatułkę pełną dawnych, złotych monet. Ze łzami w oczach uściskali rodzice małego synka, a ten klaszcząc w dłonie powtarzał:

— Acha! Nikt nie chciał wierzyć że byłem w królestwie żab! A one takie gościnne. Pokazały skarb, częstowały mózgiem gąsienic i skrzydełkami muszek! Acha! Byłem tam i dziwy widziałem...

Może to była prawda, a może tylko sen. Jednakowoż skarb pod wierzbą znaleziono.

O Jagnie co z djabłem tańczyła

III

Sędziwy kapłan zganił Jagusię i do poprawy nakłonił a potem już wiedział, że djabeł coś knuje — i coś złego zamierza uczynić. Ojciec i matka z Jagusią udali się potem do domu i spokojnie czekali wieczora. Lecz ledwo dzionek się skończył i słonko ukryło swą główkę, zjawił się djabeł na progu przed chatką i prosił Jagusię na tany. Jednak nie poszła jak ksiądz to przykazał, lecz wymówiła się grzecznie od razu.

Wymiarkował djabeł jej szyki lecz zaprzestać nie myślał zamiaru i postanowił od jutra rozpocząć na nowo. Jak przyszedł tak poszedł w piekielne otchłanie, do Lucypera w dorady.

Gdy już dosyta się naradzili, drugi dzień minął zupełnie i wieczór powoli zapadał na świecie. Wielmożny syn Belzebuba przebrał się znów w szaty młodziana i ogon swój skrzętnie ukrył we fraku a końskie kopyta obuwiem otulił.

Niktby już więcej nie poznał djablika, tak pięknie stąpał po ziemi; szybko też minął chateczki wzdłuż drogi i ludzi co pracę kończyli wieczorem. Potem ominął krzyż Pański w kościele i zboczył pod płotem ku Jagny domostwu.

Już zamierzał ogródek otworzyć i cichuteńko wejść między krzakami, lecz jakoś z miejsca ruszyć mu się nie dało bo niewidzialna siła pchała go napowrót do drogi. Próbował raz, drugi i trzeci, lecz zawsze daremnie bez skutku. Nie wiedział biedak mizerny, że kapłan w pokoju się ukrył, by sprawić mu należytą odprawę.

Ale poszedł po rozum do głowy; przecież nie poraz pierwszy zawód spotkał djablika. Już nieraz przyszło spełnić gorsze zadanie, gdy ludzie figla mu spłatać raczyli albo też na gorszy kawał zdobyć się byli w stanie. Lecz nacóż djabeł jest djabłem, nie trudno mu sprostać zadaniu.

Czekał więc cierpliwie aż północ nadeszła, by siły swej użyć w zdradliwym zamachu. Ledwie kur gdzieś pierwszy raz krzyknął, wskoczył zręcznie na dach zagrody a potem buchnął gwałtownie na komin i zgrabnie koziołka wywinął a spojrzawszy raz jeszcze dokoła, łbem naprzód opadał szybko do rury.

Lecz kapłan już poznał jego zamiary i kropidło trzymał gotowe a gdy usłyszał szelest w kominie, rozpoczął święcić dokoła i wodą chlustać na ściany. Tego nie mógł nasz djablik przewidzieć ani Lucyper nawet w piekle ognistem. Gdy więc poczuł ciepło w kominie, myślał, że matka chleby wypiekła i ogień w kominie rozpala. Stąd jeszcze gorszym dla niego, że gorącz się coraz bardziej wzmagała i w stopy go kłuła ogromnie.

Ledwo też myślał być blisko u celu i przebyć kąpiel ognistą, ujrzał kapłana w pokoju. Wtenczas ale, moi panowie, już dłużej nie miał złudzenia, jak czmychnął do góry, tak komin rozwalił i przeraźliwie zawył nad dachem.

Potem już tylko uciekał do djabła bo nic mu z Jagusi nie było a gdy jeszcze przed rankiem był w piekle, poszedł do Lucyfera w narady. Ten jednak, gdy się o tem dowiedział, wytargał za uszy głupiego szatana i za karę więcej nie puścił na ziemię.

Tak wszystko skończyło się gładko i Jagna została u matki lecz odtąd, już nigdy, choć skrzypki śpiewały i bas sędziwy mruczał w kapeli, Jagna już więcej nie poszła do tańca by z chłopców drwić sobie zuchwale i djabła wzywać na drużbę do sali.

Od tego czasu, gdy wieczór zapadał i na Anioł Pański dzwonili w kościele, Jagna klękała w izdebce przed krzyżem i Zdrowaśki zmawiała z różańca. Tak minął rok, drugi i trzeci aż wkońcu jej latek przybyło czterdzieści a gdy już wreszcie starość nadeszła, nieraz dzieciom mówiła przestrogi by nigdy na świecie, jak żyć tylko będą, czarta na pomoc się prosić nie ośmielili i karczemnej zabawy unikali zdaleka.

Tak oto, dzieci kochane, nieraz bywa na świecie. Co wam tu mówiłem prawdą być musi a gdybyście wierzyć nie chcieli co prędko skleiłem w pamięci, to proszę zapytać mateczki, co sądzi o bajce tutejszej.

Koniec.

O ZAJĄCZKU

Stara pani zającowa
Mądrze swego synka chowa!
„Ostrouszku" me kochanie
Nie jedz tyle na śniadanie!
Bo pamiętaj, synku drogi,
O tem musisz wiedzieć zgóry,
Każdy ma coś dla obrony,
Jastrząb dziób i ostre szpony,
Pies ma zęby, baran rogi,
Jeż swe kolce, kot pazury,
A zając ma tylko — nogi!...
Jak więc będziesz zmykał, mały,
Gdy masz brzuszek ociężały?

J. P.

Zmotoryzowana krowa

Jeden z wieśniaków z miejscowości Gaildorf w Niemczech wpadł na wcale ciekawy dowcip. Kupił krowę na jarmarku już późnym wieczorem. Mając długą drogę do swej siedziby, którą musiał odbywać szosą o dużym ruchu automobilowym, zabezpieczył się zupełnie wedle „przepisu" od niebezpieczeństwa przejechania krowy przez samochód. Na jednym z rogów krowy zawiesił małą jasną latarkę, a na ogonie w ustalonej wysokości przywiązał czerwoną latarkę ostrzegawczą. Z tak iluminowaną krową dotarł szczęśliwie do swej wioski, ku uciesze wszystkich przejeżdżających.

Hotelarz i podróżni

(gra dla dzieci).

Do zabawy staje kilka, albo kilkanaście dzieci. Jedno z nich zostaje właścicielem hotelu, reszta zaś (podróżni) wybierają sobie po jednej literze alfabetu, naprzykład P, W, K i t. d.

Każdy z podróżnych przychodzi do właściciela hotelu i odpowiada mu na wszystkie zadane pytania tylko słowami rozpoczynającemi się na jego literę.

Np. podróżnego, który wybrał sobie literę P. hotelarz pyta:

— Jak was wołają?
— Piotr.
— Skąd pochodzicie?
— Z Podola.
— Jaki jest wasz zawód?
— Piekarz.
— Czego chcecie?
— Pięknego pokoju.
— Co niesiecie?
— Pakunki.
— Co zjecie na śniadanie?
— Placek.

O ile które z dzieci się pomyli, wówczas daje fant.

WIEWIÓRKA

Panna Marja w lesie pierwsza spostrzegła wiewiórkę.

Zaraz więc położyła palec na ustach i spojrzała na nas z porozumieniem.

Zrozumieliśmy... Siedzieliśmy cicho jak trusie. Ja tylko powtórzyłem sobie w myśli ten wierszyk:

— Co tam robisz wiewióreczko?
— Jem orzeszki panieneczko!
— Któż ci zrywa moja miła?
Wiewióreczka się zdziwiła.
Sama sobie zrywam — powie,
Jestem młoda, samo zdrowie.
A wiem także, że próżniacy
Żyją tylko z cudzej pracy.

Przez ten czas wiewiórka najspokojniej w świecie siedziała sobie na sęczku. Coprawda rzadko się zdarza, żeby choć chwilkę siedziała spokojnie.

Kiedy tak siedziała na sęku, ledwo ją można było dostrzec. Brunatna sierść zwierzątka i kora na drzewie były prawie jednej barwy.

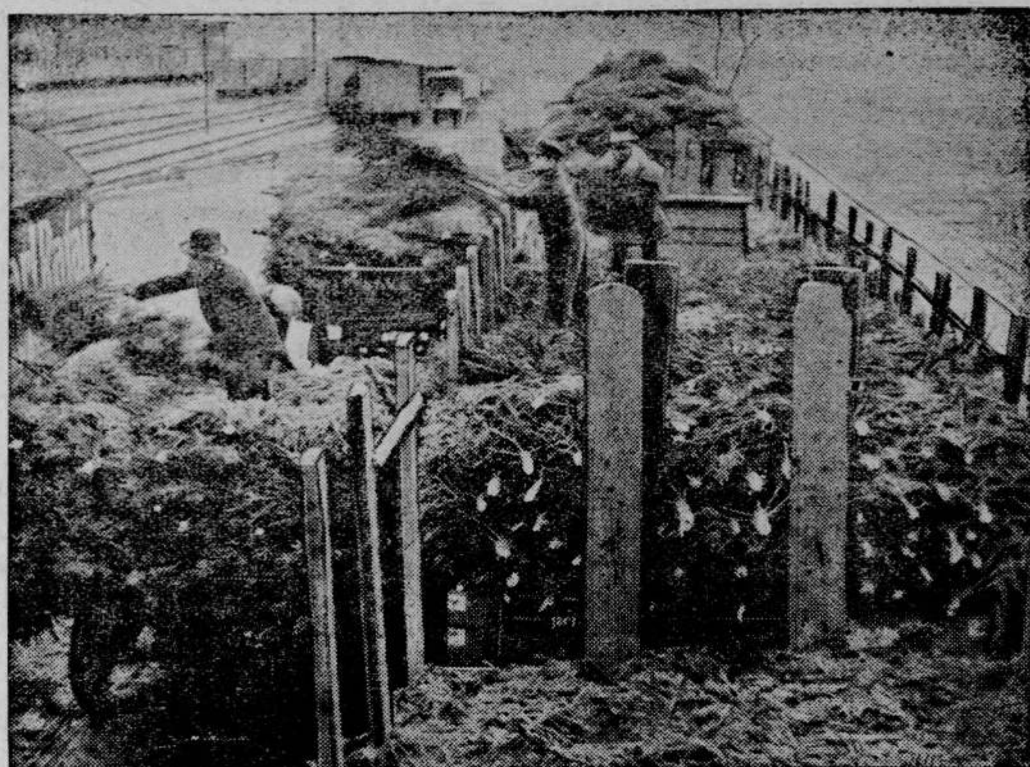
— A może ona nas nie widzi? — spytałem.

— Ej, chyba nie, bo te zwierzątka są ogromnie czujne i wzrok mają doskonały.

Czarne, okrągłe ich oczy latają na wszystkie strony.

Coś zatrzeszczało w górze... posypały się na nas drobne łuski... To wiewiórka zabrała się do podwieczorku. Przysiadła na tylnych łapkach, w przednich trzyma szyszkę, obłupuje łuski ostremi zębami i smacznie jąderka wyjada.

Wszyscy wiedzieliśmy, — czem się wiewiórka żywi, bo nam panna Mania dawno powiedziała. Ziarnka szyszek, orzechy bukowe, laskowe, nasiona jabłek i gruszek, grzyby — to zwykłe potrawy wiewiórek.



GWIAZDKA SIĘ ZBLIŻA...
W związku z nadchodzącemi świętami Bożego Narodzenia wre gorączkowa praca na kolejach. Odbywa się ładowanie choinek, które tle radości przynoszą naszym milusińskim w czasie świąt.

HUMOREK

REZOLUTNOŚĆ.

— Antosiu, znasz tę literę? powiedz, jak się nazywa?

— Z widzenia to ja ją znam dawno, ale jak się nazywa nie mogę powiedzieć!

* * *

WIEDZĄ...

— Czy wiecie, co to jest gąsienica?
— To pewnie mała gęś!

* * *

— Jak brzmi siódme przykazanie?
— Proszę nie kraść.
— Ależ to przykazanie wygląda nieco inaczej, poprostu „nie kradnij".
— Jakżeżbym mógł mówić do pana profesora „Ty".

* * *

Nauczyciel: — Nie rozumiem, jak może jeden człowiek zrobić tyle błędów.

Uczeń: — To nie jeden człowiek. Pomagał mi ojciec i siostra.

— Jak długo byli pierwsi rodzice w raju.
— Do jesieni.
— Skądże to wiesz?
— Przecież zjedli dojrzałe jabłko i wówczas musieli opuścić raj.

* * *

ZABEZPIECZYŁ SIĘ.

— No cóż, chłopczyku, czego żądasz?
— Proszę za dwadzieścia groszy strączków senesowych, ale jak najmniej.
— Czemu jak najmniej?
— Bo ja sam je będę musiał wypić, proszę pana.

* * *

W SZKOLE.

— Marcinek co to jest metryka?
— Koza, proszę pana profesora.
— Jakto koza?
— No, bo koza beczy „me" i „tryka"!

* * *

DLACZEGO?

Ojciec: Wiesz Jasiu dlaczego zimą mamy dni krótsze?

Jaś: O tak, tatusiu, aby prędzej nadeszła gwiazdka

* * *

„CO INNEGO".

— Tatusiu obiecałeś mi opowiedzieć, jak wygląda mózg ludzki.

— Daj mi spokój, Stasiu, mam teraz co innego w głowie.